Nro 21.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 20 maja 1848. **Rok dziewiąty.**

Wychodzi co sobota regularnie. Przedpłata we Lwowie rocznie 10 zr. półrocznie 5 zr. kwartalnie 2 zr. 30 kr. m. k. Bez rycin rocznie 4 zr. półrocznie 2 zr. kwartalnie 1 zr. m. k. Na prowincyi chcący odbierać pocztą dołączają do cen powyzszych za przesyłkę pocztową rocznie 1 zr. 36 kr. półrocznie 48 kr. kwartalnie 24 kr. Z prowincyi można nadsyłać pocztą należytośc prenumeraty pod adresem redakcyi Nr. 301 we Lwowie, w którymto jedynie razie redakcya ręczy za regularną przesyłkę numerów w opieczętowanych kopertach. W królestwie polskiem i Rosyi prenumerata składa się na pocztach.

O jedności i braku cywilnej odwagi w Polsce.

Bez wątpienia bardzo to chlubnie i zaszczytnie, iż rozwinięcie naszego życia politycznego powstało pod hasłem Jedności i Zgody!

Jedność i Zgoda oto słowa z każdych ust wychodzące! Zgoda zatem i jedność, a przekleństwo temu coby chciał ducha niezgody zaszczepić! Ale jeżeli we wszyskiem przesada jest szkodliwą i niebezpieczną, tem szkodliwszą jest ona w życiu publicznem. Krzycząc ciągle o jedności, nie rozumiemy jej znaczenia, i bojąc się upiora niezgody, wpadamy w grzech dawny, co naszej ojczyznie tyle krwawych ciosów zadał! Zbrodnią jest w własnych widokach wszczynać niezgodę przez zawiązywanie stronnictw. Zbrodnią jest tamować przedwczesnemi kłótniami rozwinięcie się życia publicznego. Zbrodnią jest przez chciwość władzy potępiać tych, którzy nas wyprzedziwszy, pochwycili ją. Lecz kto śmiało otwiera swoje zdanie, kto śmiało występuje z prawdą, kto smiało głosi potrzeby narodu i kraju, kto zdrajców ojczyzny podaje pod sąd publicznej opinii, ten nie jest wrogiem jedności!

Zbyteczna troskliwość o nią już nam wiele szkody przyniosła. Ona to hamując języki naszych przodków, nałożywszy kajdany opinii publicznej, podała ją potem w daleko sroższą niewolę!

Nikt nie śmiał wystąpić otwarcie, bo nad jego głową wisiało przekleństwo nazwy „wszczynającego niezgodę.“ Tak jest, wbrew powszechnemu mniemaniu śmiem twierdzić, żeśmy nie upadli niezgodą, ale przeciwnie padliśmy ofiarą zbytecznej dążności do zgody, brakiem cywilnej odwagi.

Twierdzenie to jest oparte na dziejach naszej ojczyzny.

Cofając się myślą w daleką naszą przeszłość, widzimy bez wątpienia wiele i bardzo wiele niezgody, kłótni a nawet wojen domowych. Wszczynały je zwykle prywatne zamożne rodziny, a elekcye królów, współubieganie się o starostwa, urzędy, dostojeństwa były najczęściej powodem onych, ale obok tego ileżto ślepego widzim posłuszeństwa dla królów?

Kiedy Bona z ogromnemi skarbami uciekła z Polski, naród nie chcąc wszczynać niezgody, pozwolił na to w milczeniu, a pieniądze polskie pod włoskiem niebem przepadły! — Zygmunt III. prowadzi ze Szwecyą i Moskwą bezkorzystną dla Polski wojnę, a odstępuje haniebnie Żółkiewskiego na polach Cecory. Naród zniósł to cierpliwie i kiedy oburzony tem Piekarski targnął się na życie króla, naród ogłosił go świętokradcą i w milczeniu patrzał jak go ćwiertowano.

Kiedy Jan Kaźmierz, co tyle złego Polsce wyrządził, czując swą nieudolność składał koronę, naród niepomny jego przewiny, błaga na klęczkach aby go nie opuszczał.

Jan III. podmówiony przez żonę, powodowany chęcią sławy i fanatyzmem, idzie na odsiecz Wiednia; co Polsce żadnej przynieść nie mogło korzyści; naród jednak nie sprzeciwia się temu, a hetmana Sapiehę, który innego był zdania, niezgodnym duchem okrzyczał.

Gdyby nie to, kto wie czybyśmy dziś w niewoli jęczeli.

Lecz dość tych dowodów czerpanych w dawniejszych dziejach. — Wspomniałem o nich, aby okazać że nawet w czasach największej niezgody obawa jej i bezmyślne posłuszeństwo woli królewskiej do wielu nieszczęść stały się powodami — Dzieje późniejsze przedstawiają nam obraz prawdziwej Jedności i Zgody, wśród której ojczyzna nasza — upadła.

Stanisława Augusta, owego zabójcę i bogdaj ostatniego króla polskiego, wola Katarzyny na tronie osadziła. Naród go jednomyślnie przyjął; dla czego? Bo go rodzina Czartoryjskich wspierała, a naród bał się niezgody.

Carowa trzęsła krajem, król, jej narzędzie, widocznie go do upadku prowadził. A jednak, gdy się konfederacya Barska zawiązała, naród jej nie popierał, bo ją nielegalną uważał.

Konfederaci, sami którzy jedni wtedy o ratunku Polski myśleli, uprowadzają króla z Warszawy, Kuźma prze-

straszony upiorem niezgody, zdradza swych towarzyszy, uwalnia króla, a konfederaci burzycielami pokoju nazwani, muszą pod obcem niebem szukać schronienia.

Król dalej frymarczy z Moskwą. Rozszarpują naszą ojczyznę, zdrajca Poniński namawia posłów do zgody, a oni też, prócz Rejtana, zgodnie na pierwszy rozbiór Polski zezwalają.

Później staje konstytucya 3go maja; król zaprzysięga ją, lecz w krótce zamiast wystąpic na czoło wojska zebranego na Ukrainie, łomie przysięgę, łączy się z Targowicą a naród milczy i na sejmie Grodzieńskiem, przez wiarolomnego króla do zgody nakłaniany, zezwala na powtórny rozbiór kraju.

Zagrzany miłością ojczyzny Kościuszko podnosi sztandar w Krakowie, a wiedząc gdzie żywotna siła spoczywa, przybiera suknie wieśniacze, przemawia ogniście do chłopów i na czele uzbrojonych w kosy, na polach Racławic odnosi świetne zwycięztwo. Po mistrzowsku rozpoczął, lecz coż ztąd? gdy i ten nieskazitelny bohater Polski nie miał odwagi wystąpić otwarcie. Czuł on dobrze, że siła w ludzie spoczywa, a usamowolnienie ludu było jedynem Polski zbawieniem; lękał się przecież oburzyć szlachtę i aby nie wszczynać niezgody, zaniechał tego środka zbawienia.

Króla szanował, oddawał mu honory, nieufająca mu szlachta nie wspierała go dość silnie, a lud nie wiedząc o co się bije, zobojętniał. I ten co mógł był ogromne masy poruszyć, z małą garstką stacza nieszczęsną bitwę pod Maciejowicami, gdzie ranny wyrzeka złowieszcze słowa: *Finis Poloniae.* Wtedy nastąpił ostatni rozbiór ojczyzny.

Widzieliśmy zatem upadek Polski, ale nie widzimy, aby się to stało z przyczyny niezgody, owszem, przyjęcie Poniatowskiego na króla, opuszczenie konfederacyi, sejm Grodzieński, powstanie Kościuszki, wszystko to w największej zgodzie przeminęło.

Niewątpię że i wtedy byli ludzie co jasno widzieli, czego ojczyzna wymaga, ale przestraszeni upiorem niezgody, nie śmieli dość energicznie postąpić. Gdyby Strawiński, zamiast porwania, zgładził był niecnego króla, byłby to czyn niesłychany w dziejach polskich, ale byłby nas może zbawił. Gdyby po przystąpieniu króla do Targowicy sejm śmiał go z tronu zrzucić, nie byłoby komu zaprzedać kraju wrogom. Gdyby Kościuszko nie zważał był na szlachtę, byłby wywalczył wolność ojczyznie. Tak zaś z braku cywilnej odwagi, prócz sławy orężowi polskiemu zjednanej, nic dla nas nie zdziałał.

Lecz idźmy dalej, a wyznamy, że niekorzystając z nauki przeszłości, właśni ojcowie nasi w ten sam błąd popadali. Jakoż i później widać wszędzie brak śmiałości, brak cywilnej odwagi.

Dąbrowski uformował legiony, na wszystkich świata krańcach lała się krew polska dla obcej sprawy, i Polacy, ów wolny naród, stają się narzędziem despotyzmu, dopomagają do ujarzmienia innych narodów, a zaufawszy dobrodusznie zwodniczym słowom Napoleona, opuszczają najlepszą porę, gdy wszyscy trzej łupiezcy Polski upadli przed olbrzymim jeniuszem francuzkiego cesarza, i z braku cywilnej odwagi, nie śmią odłączyć się od niego, nie myślą o zrzuceniu obcego jarzma.

Nastaje królestwo kongresowe, carski brat Konstanty gwałci nadaną konstytucyę, zawiązuje się tajemny spisek i czeka sposobnej chwili działania.

Chwila ta, może od boga zesłana, nadchodzi. Mikołaj z całą rodziną przyjeżdża na koronacyę do Warszawy, jest wśród spiskowych. Jeden czyn śmiały, a w jednej chwili dwa pobratymcze narody mogą być uwolnione od znienawidzonego ciemięzcy. Młodzież zawsze do czynu gotowa, chce z tej chwili korzystać, lecz Niemcewicz z braku cywilnej odwagi, ostudza ich zapał, zaklina by tego nie czynili,

Dnia 29. listopada 1830 Wysocki na czele podchorążych wypędza wrogów z Warszawy. Pierwsza chwila powstania najpomyślniejszym skutkiem uwieńczona, ale sprawcy jej nie mieli odwagi nadać dalszy kierunek dziełu, które się w ręce zdrajców lub niedołęgów dostaje.

Chłopicki z Lubeckim posłaniem służebniczej deputacyi do cara, zaczynają swoje działania, wojsko rosyjskie wychodzi z bronią, na Litwę nikogo nie wysyłają, Mochnacki w klubie patryotycznym krzyczy, że Chłopicki zdradza, lecz rząd zamyka klub, aresztuje Mochnackiego, a naród potępia go jako burzyciela i głowy się jego domaga.

Później Lelewel robi wniosek usamowolnienia chłopów, aby tym środkiem wskrzesić wszystkie siły narodu. Lecz nie poparty przez izbę, nie mając dość cywilnej odwagi, cofa wniosek i tak jedyny środek zbawienia ojczyzny upada.

Skrzynecki po bitwie pod Dębem czeka z założonemi rękami i podmówiony przez Czartoryskiego wygląda na drodze dyplomatycznej zbawienia Polski. Naród widzi jego bezczynność. Oficerowie, podchorążowie, bohaterowie Belwederu widzą złe tego skutki, lecz bojąc się wszczynać niezgodę, patrzą cierpliwie na tak haniebne sił narodowych trwonienie.

Wzburzony lud warszawski dnia 15. sierpnia, nie mogąc doczekać się spełnienia sprawiedliwości na zdrajcach ojczyzny, sam ją takowym wymierza, karząc śmiercią zbrodniarzy. Krukowiecki sprawców tego aktu jako burzycieli rozstrzelać kazał, a lud poklasnął jego wyrokowi. Przy szturmie Warszawy, Krukowiecki samowładnie parlamentuje, zawiera z wrogiem kapitulacyę, zdrada jego jest widoczną, nieomylną, lecz brak śmiałka, coby go oddał pod sąd. Warszawa kapitulacyę przyjęła.

Dwadzieścia i kilka tysięcy wyborowego wojska wyprawia się pod dowództwem Romaryna ku granicy Austryi, a to tylko jako straż bezpieczeństwa dla jednego niedołężnego starca i jego zauszników, co jeśli nie zdradzili ojczyzny, tedy przynajmniej niezdolnością swoją głównie się do upadku tak świetnie rozpoczętej sprawy przyczynili. Są w tym korpusie ludzie, co widzą że jego pochód jest zdradą, a jednak nie chcąc wszczynać niezgody, składają broń na granicy Austryi.

Oto są przelotnie skreślone punkta historyczne, którym prawdy zaprzeczyć nie można, a które dostatecznie nas przekonują, że nie niezgody lecz źle zrozumianej jedności, to jest braku cywilnej odwagi, strzedz się nam wypada.

Nauczeni tylu przykładami nie wpadajmy w błąd, przez naszych ojców popełniany, otrząśmy się z pyłu przesądów, i zaczynając życie polityczne, zaczynajmy je w jedności i zgodzie, lecz niech nas przedewszystkiem prawda i szczerość nie opuszczają. Jeśli widzimy jakąkolwiek potrzebę kraju, nie wahajmy się wyjawić ją zaraz głośno, jeśli widzimy niedołężność

rządu, wytykajmy śmiało jego błędy. Nakoniec dalecy od potwarzy i oszczerstwa, zdzierajmy maskę obłudy z ludzi niegodnych. zostawmy etykietę i delikatność w salonach, a w życiu publicznem, oparci na sumieniu i prawości, mierzmy się wzajem surowem okiem bo tym tylko środkiem unikniemy zdrad i podejścia. Poczciwość i zasługa niech należną u nas cześć mają, lecz ludzi podłych, zdrajców powszechnej sprawy stawmy śmiało pod pręgierz opinii.

Michał Wiesiołowski.

Fantazya.

Znaszli ten grób,
Co na wierzchołku góry,
Co okiem patrzy w chmury,
A Lwów u jego stóp?
Tam smutek cię owładnie,
I łza z twych oczu padnie,
I serce stanie w słup!

Znaszli ten kwiat,
Co wolność wkoło szerzył,
Co okiem przyszłość mierzył,
Co go uwielbia świat?
Ten kwiat dziś strupieszały,
Ciemności go owiały,
Bo po nim pełznął gad!

Znaszli ten ruch,
Co zatrząsł całym światem,
Co Chrystus mu jest bratem?
To kwiata duch!
To on stwórcę ubłagał,
By nas więcej nie smagał
Ten wielki duch!

Znaszli ten grób,
Co na wierzchołku góry,
Co okiem patrzy w chmury,
A Lwów u jego stóp?
Tam z duchem wejdź w przymierze,
I korne zmów pacierze,
Bo tam świętego trup!!

J. Felsztyński.

Zagadka.

Dyalog podsłuchany przez A. G.

(Dokończenie.)

Znienawidziłem Justowską Wolę.

Późno w wieczór, wróciłem do mojej stancyi, z mocnym bólem głowy. Tej nocy mało spałem; głowa mi się łamała nad dociekaniem powodów tak zmiennego postępowania Heleny ze mną. W końcu zacząłem posądzać moją kuzynę, że to ona była sprawczynią mojego nieszczęścia.

Nazajutrz zrana byłem u niej. Zaczęło się badanie, i cóż się dowiedziałem? Oto że pani Zasietkoska zaczepiona pytaniem się Heleny o mnie; w najlepszej wierze rozpowiedziała do najdrobniejszych szczegółów nie tylko moje familijne stosunki ale i majątkowe. Przy szczęśliwej swojej pamięci odliczyła ile mam pokoi w moim dworku, ile krów na stajni, kóp żniwa zebrałem na moim erbpachcie; chociaż mogła była i to namienić, że gospodarstwo jest raczej rozrywką niż spekulacyą moją i t. p.

Z tego, com posłyszał od pani Zasietkoskiej, domyśliłem się łatwo, że panna Helena zawiedziona w suppozycyi, jaką powzięła o mnie, to jest, o moim majątku i stanowisku w świecie, czuła żem jej ubliżył, żem nawet ją obraził tem staraniem się o względy tak bogatej panny jak ona; nawet swoim artystokratycznym rozumem pojęła potrzebę pokazania mi że miejsce, na którem ją postawiło urodzenie i bogactwo, jest dla mnie niedostępnem. Tak było w istocie, przekonałem się o tem później.

„Kuzynko“ — ozwałem się do pani Zasietkoskiej, wysłuchawszy jej mowę jak mogłem najcierpliwiej. — „Jutro niech kuzynka idzie do spowiedzi i wyspowiada się z popełnionego grzechu zabójstwa.“

„Święte rzeczy! czyś ty sfixował?“ zawołała przerażona.

„Skróciłaś życie nadziei“ — rzekłem do niej wychodząc z pokoju, i z tej kamienicy, gdzie odtąd noga moja nie postała.

„Zdzisławie“ — zagadał słuchający go Henryk — „zapal sobie sygaro, to najlepsze lekarstwo na smutek; twój był z rodzaju tych smutków, które z lekkim dymem ulatują.“

„Mylisz się Henryku“ — odrzekł Zdzisław. — „Pierwsze chwile smutku były ciężkie do zniesienia; nastąpiło jakieś odurzenie serca i głowy; straciłem ochotę do wszystkiego, zająć się czem nie mogłem. Tęskniłem za Heleną, jednak nie poszedłem do niej, przez trzy dni nie widziały mnie pani Litnoska ani jej córka.“

„Więc obaczyły cię dnia czwartego?“ — zagadał Henryk. —

„Była to niedziela“ — ciągnął dalej Zdzisław. — „Szedłem floryańską ulicą. Mijając oberzę, postrzegłem w bramie stojący kocz, 3 konie pocztarskie zaprzężone u pojazdu.“

„Już odjeżdza!“ Na tę myśl smutno mi się zrobiło. Im dalej byłem od domu, w którym ona jeszcze była, tem silniejsze stawało się pragnienie widzenia ją raz jeszcze.

Nawróciłem się, i do oberzy idąc zatrzymałem się na schodach. W tej chwili pasowania się z samym sobą, czy mam iść dalej? czy nawrócić? własna duma moja przechyliła mnie w tę stronę, w którą serce się skłaniało.“

„Pójdę do niej“ — rzekłem do siebie — „nie chcę aby mnie posądziła o brak wychowania. Pójdę do niej, ażebym jej pokazał, że jestem wesołym, że jej obojętność jest i mnie obojętną.“ I pochwyciłem za klamkę ode drzwi, stały w tem postanowieniu, że będę w obejściu się z nią dumnym i swobodnym. Wstąpiłem do pokoju, panna Helena była sama.

„Chciałem pożegnać — ale jak uważam, nie zastałem mamy pani!“ Odpowiedziano mi, że pani Litnoska wyszła na miasto, do jednego sklepu, długo niezabawi, i proszono mnie spocząć.

„Pani już na wyjezdnem, nie jest mojem życzeniem przeszkadzać“ — wymówiłem to ostatnie słowo z przyciskiem.

„O nie! bynajmniej; rzeczy nasze już zapakowane. Nie zechce pan spocząć?“ — To mówiąc panna Helena wskazała na krzesło, najbliższe kanapy.

Usiadłem, zacząłem się oglądać po pokoju jak mo-

głem najobojętniej, po chwili zrobiłem uwagę, że mamy czas piękny, spodziewać się że pogoda posłuży paniom.

Helena spojrzała na mnie wzrokiem zadziwienia; uważałem że jej pierś się podniosła; potem nastąpiło ciche, przytłumione westchnienie. Milczeliśmy oboje.

„Moja mama wspomniała nieraz o panu“ — przemówiła po chwili — „będzie bardzo kontenta, że pana jeszcze raz obaczy.“

„Było to moją powinnością pożegnać mamę pani“ — odrzekłem.

„Tylko moją matkę?“ — zapytała Helena spuszczając oczy.

„Niepojęta!“ — pomyślałem w duchu.

„Zdaje mi się“ — mówiła znowu do mnie, nie podnosząc oczu. — „Mówiłam, już niepamiętam, o mężczyznach to było; widzę teraz sama; że nie zawsze się mylę w moich zdaniach; mam nawet teraz zupełne przekonanie, że tak w istocie.“

„Chętnie przyznaję to pani;“ — odrzekłem na to — „Jej zdanie o nas było bardzo trafne; nie jesteśmy zdolni dłuższego zajęcia się jednym przedmiotem; a nawet i wtenczas, kiedy nie mamy wielkich stadnin; nie wojażujemy po świecie; nie zakładamy ogrodów.“

Musiała mię zrozumieć, bo spojrzała żywo na mnie, pewny byłem jej gniewu, a ona za tę niegrzeczną przemówkę odpłaciła mi uśmiechem tak słodkim, tak ujmującym, żem naraz zapomniał mojej roli. Broń, którą się uzbroiła zemsta moja, wypadła mi z ręki; bezbronny i pokonany, czułem że się oddaję na łaskę mojej nieprzyjaciołki.

„Panno Heleno“ — zagadłem do niej — „dozwoli mi pani, że się poprawię i dodam co pani wie zapewne, że niektórym kazano mówić to, co się nie myśli“

„Czy tak? Co do mnie, ja niewiem nic o takim nakazie. Gdzie to stoi napisano, czy w xiędze praw? może w jakim romansie? gdybym ja pisała prawa albo romans.....“

„Romansowi dałaby pani zakończenie smutne“ — zagadałem. —

„Być może, ale ten bohater mojego pomysłu....“— myślała przez chwilę, potem dodała — „tenby się pewnie nie oddalał od poznanej damy bez pożegnania.“

„A gdyby ona?“

„Gdyby nawet nie mogła być dla niego z wzajemną życzliwością; w nagrodę miałby może to zapewnienie, że chwila spotkania się i dla niej miłą pamiątką.“

„Panno Heleno! W takiem zapewnieniu jest szczęście dla mnie. Pani mię ośmiela — pani mi dozwala wierzyć......“

„Niech pan wierzy, że pragnę, ażeby między nami była zgoda.“

„Tylko zgoda? zgoda pomiędzy niewolnikiem i jego tyranką?“

„Panie Zdzisławie! Ja nie wiedziałam że Kraków ma poetę!“ — zarzuciła z uśmiechem.

„Ale“ — wpadłem jej w słowo — „przynajmniej mogłaby pani wiedzieć, że i w rozpaczy bywa poezya.“

Wyrzekłem te słowa z takim głosem szczerego smutku, byłem do tyla rozrzewnionym, tak wzruszony tem uczuciem, co mi biło w piersiach, co się chciało wylać łzami z głębi serca mojego; że Helena czy trwogą o mnie przejęta, czy litością, czy innem uczuciem, podała mi rękę. Była to ręka podana temu, który tonie.

Ledwie uczułem uścisk jej lubej dłoni; miłość — oh! ja ją już kochałem! — miłość mnie owładła całego, w uniesieniu straciłem pojęcie, pamięć, przytomność, padłem na kolana przed nią, ustami przylgnąłem do jej ręki, łzami ją oblałem. A słowa kocham! kocham cię pani, obiły się kilkokrotnie o ucho Heleny, a może i o jej serce. Kiedy ochłonął ten szał rozkoszny, co mnie do jej nóg rzucił, postrzegłem się gdzie jestem; i zacząłem dopiero przysłuchywać się słowom, któremi przemawiała do mnie.

„Panie Zdzisławie“ — mówiła — „pan widzisz sam, że to być nigdy nie może. Znane mi są stosunki pana, jego położenie; miałbyś do zwalczenia wiele trudności, miałbyś pan przeciwko sobie moją matkę, mego stryja opiekuna, całą familię moją a może nawet i mnie.“

„Nie gniewaj się na mnie“ — dodała kładąc swoją rękę na mojej — „nie miej nawet żalu do mnie, a jeżeli chcesz winić kogo, to wiń przeznaczenie swoje, albo raczej samego siebie.“

„Panno Heleno“ — rzekłem do łez rozrzewniony — „odnawiasz mi to tylko, o czem marzyć nawet nie miałbym odwagi. Ale twoja dobroć dozwoli mi pocieszać się tą myślą, że nie obraziłem panią, tą myślą, że ta o której łaskę stoję, ta jedna, nie karze mnie gniewem swoim.“

„Nie panie Zdzisławie, o urazie nie ma nawet mowy, ani o gniewie; bo jestem pewną żeś pan nie żartował sobie zemnie, i zdaje mi się, że to co pan mówisz, czujesz także.“

„Ja przysięgnę.“

„Wierzę panu, wierzę, i dla tego każde wspomnienie o Krakowie obudzi we mnie smutek, może nawet i żal: inaczej byłoby tylko wesołą dla mnie pamiątką.“

„Jakże będę uszczęśliwiony samą tą myślą, żem zdołał obudzić w sercu pani... O, powiedz, powiedz mi pani...“

„Panie Zdzisławie czy nie umiesz być domyślnym?“

„Pani mi dozwala?“

„Czego zabronić panu nie mogę, dozwolę chętnie.“

„O droga Heleno!“ — zawołałem w szale uniesienia — „kiedy już odjeżdżasz, oddalasz się, dozwól, ażebym choć niekiedy, raz w roku, miał wiadomość o tobie od ciebie.“

„Co pan mówisz!“ — zawołała natenczas jakby przestraszona, i cofnęła się odemnie w głąb kanapy. „Dziwię się panu“ — dodała po chwili głosem dziwnie zmienionym. Widząc ją zagniewaną, chciałem przepraszać, brakło mi słów, oddechu. Milczenie przerwała Helena temi słowy: — „To nie my ale wy panowie układacie prawa, przepisujecie nam obowiązki, a często uczycie sami, że te obowiązki lekce ważyć można.“

„Pani mnie nie rozumie, nie poznałaś mnie pani.“ — „Mogłabym mniemać“ — rzekła — „że pan mnie zapoznałeś; nie wiem nawet do czegoby to prowadziło? do jakiego celu?“

„Więc pani wątpi o mojem....“

„Powinnabym wątpić, że skłonność, która niema, nie może mieć nadziei....“

„Żadnej nadziei?“ — zapytałem.

„Powtarzam panu żadnej“ — odpowiedziała najzimniej, najobojętniej. I wstała z kanapy, zbliżyła się do okna, zaczęła mówić coś o pogodzie, o matce, że nie wraca. Tem przemówieniem zamknęła mi usta.— Byłem bardzo smutny, chciałem się oddalić.

„Proszę zaczekać“ — odezwała się — „Widziałam przez okno mamę moją; właśnie nadchodzi, mo-

cnoby żałowała." Nawróciłem się i stanąłem we framudze drugiego okna.

To zachowanie się moje milczące czy ją gniewa, czy tylko ambarasuje, niewiedziałem; dostrzegłem wszelako, że pragnie przerwać tę ciszę między nami. Postąpiwszy ku mnie, zapytała o godzinę.

„Jakto? już pierwsza!" — zawołała — „mieliśmy wyjechać o 10tej, jakoś trudno nam przychodzi opuścić Kraków. A pan zostaje?"

„Ja? Wyjeżdzam także" — odrzekłem.

„Do siebie?"

„Nie, to jest, sam niewiem, gdzie się obrócę."

„Proszę mi zawierzyć" — przemówiła nieco uprzejmie — „ja życzę panu gdziekolwiek pan będziesz, ażebyś nie minął się ze szczęściem. Zdaje mi się, że pan należysz do tych, którzy z szczęściem spotkać się powinni."

Ujęty temi słowy, chciałem się zbliżyć do niej, przeszkodziła temu, wskazując na matkę, która wchodziła właśnie do pokoju.

Pani Litnoska przywitała mnie, jak zwykle; ale przy wyjeździe była tyle roztargnioną, zak zajętą, że w końcu zapomniała pożegnać mnie choćby tem krótkiem *Adieu*, a panna Helena, z pojazdu dopiero wysłała do mnie jeden z najzimniejszych francuskich frazesów: „*Je vous salue Monsieur.*"

„I wyjechali?" — zapytał się słuchający.

„Ja stanąłem na ulicy; oczyma ścigałem ich pojazd. Helena odjechała, a mnie nie została nawet ta pociecha, że ją kiedyś w życiu mojem obaczę."

„Po odjeździe twoich dam wyjechałeś zapewne na wieś. W kłopotach zapomni się o tęsknotach, jak mówi mój sąsiad pułkownik."

„Na wsi nie bawiłem długo."

„Ciągnęło cię miasto do siebie, może ogród botaniczny?" — „Chodziłem i tam." — „Często? — „Coraz rzadziej" — „Myślało się przytem, dumało wiele, a postać panny Heleny stała ciągle przed oczyma?"— „Było i to." — „Czy długo tak było?" — „Długo, z jakie pół roku." — „A potem?" — „Zacząłem powoli zapominać o niej. W końcu wyperswadowałem sobie, że Helena nie była przeznaczoną dla mnie."

„Więc zrobioną z panią Litnoską znajomość, nazwiemy epizodem, niemającym związku z powieścią twojego życia."

„Tego nie powiem, gdyby nie to poznanie Heleny, dzisiaj byłbym może już mężem, ojcem. Helena została mi w pamięci jakby dla tego jedynie, ażebym przyrównywał do niej każdą inną."

„A te inne przy tem porownaniu traciły; takim sposobem z szczęśliwego spotkania się pod różą, nie odniosłeś szczęścia."

„Henryku, czyżeś zapomniał, mówiłem ci, że ona tu jest."

„Któż tu jest? o kim mówisz?"

„Wszakże sam spotkałeś mnie, gdym jej towarzyszył do źródła."

„To była Helena Litnoska?" — zawołał zdziwiony Henryk. „No, cóż? powiedz, widziałeś się z nią, mówiłeś z nią, twoja nadzieja pomimo wyroku śmierci, może nie skonała jeszcze?"

„Zwierzyłem się tobie Henryku, wiem, że nie nadużyjesz tej przyjaźni, która daje ci prawo do zaufania mojego, powiem ci, że dzisiaj mam nadzieję, jakiej nigdy nie miałem."

„Winszuję i wnoszę, że zaczniesz może myśleć o odmianie stanu."

„Być może że już dzisiaj o tem myślę."

„Czy tak, a zatem stan rzeczy się zmienił, córka bogatej Litnoskiej dała ci do zrozumienia że teraz pozwala ci, abyś ją kochał. Tylko jednego pojąć nie mogę: przybyła niedawno, widziałeś ją dopiero dwa razy, mówiłeś nie wie....."

„Mówiłem z nią już dość wiele, chociaż dopiero dwa razy byliśmy z sobą. Mógłbym ci powiedzieć" —dodał Zdzisław — „że jestem pewien jej łaski. — Spotkałem ją przechodząc koło sklepów, postrzegłszy mnie, zawołała: „Mamo to nasz pan z Krakowa." W jej głosie była tak szczera radość! potem obejrzano się za mną kilka razy, wieczorem przechodziłem pod kamienicę gdzie ich mieszkanie, pokazano się na balkonie, wyglądano z okna...."

„To są dobre znaki" — zagadał Henryk.

„Nazajutrz rano, spotkałem pannę Helenę, szła do źródła Waldbrun, bez matki; tylko panna służąca niosła kubek swojej pani.

Nie będę w stanie opisać ci tę radość, jaką dostrzegłem na jej twarzy, to jej przyjęcie, tę grzeczność ujmującą. Wezwała mnie, ażebym jej towarzyszył; w rozmowie przypomniała chwile naszego spotkania się w Krakowie, nasze przechadzki, każde zdarzenie miała w pamięci, pytała mnie czy odwidzałem często ogród botaniczny? czy pamiętam te akacye? i to co wtenczas mówiłem? Były zapytania: o kim najwięcej myślałem? czym nie zatęsknił czasem po kim? nareszcie okazała się i ciekawość, czy nie noszę ślubnego pierścienia na palcu. Wspomniałem w żarcie, że mi się śniło jakoby i o mnie wspominano w Augustowskiem; Helena przyznała się, że sen mój odgadł prawdę. Po wypiciu wody zostałem przyjęty za towarzysza do przechadzki po parku. Służącej dozwolono pozostać przy źródle; a dziś do leśnego źródła Helena przyszła już sama. Witałem się z nią, jak z moją dawną znajomą, pytała mnie, czy wiem gdzie mieszka? Było to przymówka, żem nie przyszedł do niej, potem zapytano się, gdzie ja stoję? Kiedym wymienił ulicę *Jägergasse*, panna Helena zawołała: „Jakto? tak daleko! może się pan przeprowadzi; obok nas, pod „miastem Berlinem" są pokoje do najęcia; oglądałam je sama, będziesz pan kontent." — Odrzekłem na to, że dziś zaraz, sprowadzę się do Berlina, zostanę jej sąsiadem To oświadczenie przyjęto z radością, w ciągu rozmowy naszej siedzieliśmy obok siebie, na kamiennej ławie w miejscu oddalonem od źródła, jej ręka spoczywała w mojej i wtenczasto, niepowiem, jak to przyszło, dość, że zrobiłem jej wyznanie, że ją kocham i kochać będę, chociażby jak dawniej powiedziała mi: „nie masz żadnej nadziei." To wyznanie moje otrzymało odpowiedź w kilku wyrazach ciemnych a jednak pełnych znaczenia..... Ale coż ja czynię, zdradzam tajemnicę naszą, niepowinienem był....."

„Mnie się nie lękaj Zdzisławie" — przemówił Henryk sciskając przyjaciela za rękę — „I ja kochałem, dawniej nie teraz, gdy leciałem pocztą za marszałkiem. Zwierzenie się twoje złożę do grobu moich kwiatów powiędłych, ty wiesz że grob milczy. Nasza zagadka rozwiązuje się sama. Jesteś kochany, ale patrz, czy to nie one idą?"

„To ona! Helena!" — zawołał Zdzisław uradowany.

„Usłyszano cię, patrz, oglądają się, kłaniają się tobie; czy nie pójdzieź za niemi?"

„Możemy się zbliżyć."

I zboczyli z drogi na ścieżkę, która do łazienek prowadzi; tam dążyła pani Litnoska z swoją córką....

Henryk z Zdzisławem o jakie sto kroków byli za niemi.

Pani Litnoska wstąpiła do salonu; Helena zatrzymała się u szklannych podwoi, rzuciła okiem na Zdzisława, poczem zbiegła znowu z kamiennych gradusów na murawę i zaczęła zrywać kwiaty, co tam kwitną pod oknami domu.

„Idź, idź Zdzisławie“ — mówił Henryk — „czekają na ciebie.“

I rozłączyli się przyjaciele.

Helena widząc idącego ku niej Zdzisława, powolnym krokiem zwróciła się do łazienek, gdzie wstąpił także i Zdzisław. Henryk obaczył zdala przez szybę podwoi dwie osoby blisko siebie stojące; w poufnej z sobą rozmowie; a widok szczęścia bliźniego napełnił go smutkiem. Po chwili dwaj przyjaciele złączyli się znowu, i wolnym krokiem szli obok siebie; milczeli obydwa.

Jeden, nie miał wyrazu dla swojego szczęścia, drugiemu jakaś żałość odebrała ochotę do rozmowy.

„Henryku, ja cię zaprezentuję w domu pani Litnoskiej“ — zagadał pierwszy Zdzisław. — „Będę tam dziś wieczorem na herbacie, pójdziemy razem, czy przystajesz na to?“

„Przystaję“ — odrzekł zapytany — „ale po obiedzie, co robiemy!“

„Będę u ciebie.“ — „Zgoda.“ — I podawszy sobie ręce, rozeszli się.

Była szósta godzina, Zdzisław z swoim przyjacielem wychodził zpod miasta Hamburga, gdzie mieszkał Henryk, oba we frakach, ubrani jak na wizytę. Już byli w bramie kamienicy, której pierwsze piątro zajmowała pani Litnoska. Zdzisław się zatrzymał.

„Na moment zbiegnę do mojej stancyi, zapomniałem...“

„Cóż takiego“ — zapytał Henryk.

„Prosiła mnie panna Helena o kilka książek do czytania, przyrzekłem że je przyniosę z sobą.“

„Więc nawróćmy.“

Idąc drogą spotkali czwórkę anglizowanych koni, dwóch masztalerzy prowadziło je po parze. Stanął Henryk jako amator i znawca koni.

„Czyje to konie?“ — zapytał Zdzisław.

„Jakiejś bogatej hrabiny czy xiężny z Moskwy; rasowe, pyszne!“ „Ale prawda“ — zagadał Zdzisław. „może ja będę potrzebował czwórki.“

„Do ślubu?“ — „A naturalnie“ — odrzekł Henryk. — „Wiem o jednej, cztery klacze rosłe dobrane, a jaka noga! Niepotrzebujesz szukać, postaram ci się o nie. Nikt nie powie, żeś się ożenił fornalką; a pojazd, sprowadzisz z Wiednia naturalnie?“

„Ja myślę że będę potrzebował karety.“

„Zapewne, panna zza kordonu nie obejdzie się bez karety.“

Tak rozmawiając z sobą, wstąpili do kamienicy; dziewczyna domu, otwierając pokój panu lokatorowi, oznajmiła że przed godziną był tu strzelec od pani hrabiny Mero.

„Jakto? czy do mnie?“ — zapytał Zdzisław.

„Tak; jest i bilet, położyłam go na stole.“

„Korespondujesz z jakąś Francuzką, a do tego hrabiną!“ — zagadał Henryk. Zdzisław nie mówiąc słowa, wziął do ręki bilet leżący na stole. Już z samej koperty sądzić było można, że bilet był przysłany od damy wielkiego świata. Brzegi w kolorowej obwódce; pieczątka złota, maleńka, adres pisany lekką ręką. W samym charakterze pisma było coś arystokratycznego.

Zdzisław oderwał pieczątkę, rzucił okiem na podpis, zaczerwienił się i znowu zbladł. Gdy skończył czytanie, bilet wypadł mu z ręki. Zdziwiony Henryk, patrzał na przyjaciela, który stał nieporuszony w miejscu, jakby skamieniały.

„Cóż to jest? co to wszystko ma znaczyć?“ pytał się kilkakrotnie; Zdzisław nie odpowiadał; ciekawością zdjęty Henryk podniósł list z ziemi. — Był pisany po polsku, zawierał kilka tylko słów, przeproszenie nader grzecznie wysłowione; dla nagłej słabości matki przyjąć dziś nie może. W zakończeniu wyrażona miła nadzieja obaczenia się jutro, przy źródle Waldbrun; podpis; *Hélène Csse* Mero.

„*Contesse* Mero!“ — powtórzył zdziwiony Henryk.— „Więc twoja Helena ma męża? a nim jest jakiś hrabia Mero? a ty nic wiedziałeś nic o tem?“

„Nie wiedziałem; nie mogłem wiedzieć; nie powinienem był przypuścić nawet tej myśli“ — odrzekł zdesperowany kochanek Heleny.

„Przyznam się“ — ozwał się Henryk — „I ja nie myślałem, ażeby ta zagadka rozwiązaną została takim nowym sposobem.“

„Nie mogę jeszcze przyjść do siebie!“ — dodał Zdzisław podnosząc rękę do czoła.

„Ja już przychodzę do siebie“ — rzekł Henryk — „i dostrzegam że w tej historyi jest nawet coś, coby mogło nas rozśmieszyć.“

„O! zaklinam ciebie! nie wyszukuj tu śmiesznej strony; nie zniósłbym teraz jednego słowa szyderczego, nawet od ciebie.“

„W twoim pokoju jest duszno“ — zagadł Henryk „przejdziemy się po świeższem powietrzu.“

Zdzisław nie sprzeciwiał się; poszedł za Henrykiem który ująwszy przyjaciela pod rękę, sprowadził go tą samą drogą do źródła Ferdynanda, na której spotkali się tego rana.

Dnia następnego Zdzisław nie wyszedł z pokoju. Henryk bawił przy nim, opowiadał mu przygody cudze i swoje, sceny miłośne i inne śmieszne zdarzenia. W końcu, wieczorem to było, wprowadził Zdzisława w tak wesoły humor, że ten zrywając się z krzesła, na którem siedział zamyślony, stanął przed Henrykiem i patrząc się w niego, zagadał:

„Wszystko to śmieszne, coś mi mówił, ale przyznaj sam, że śmieszniejszej komedyi nie odegrał nikt przedemną; to tylko szkoda że muszę powiedzieć *finita est comedia.*“

„*Finita?*“ — pochwycił za słowo Henryk — „mylisz się mój przyjacielu! Było już wiele scen i wypadków, expozycya śliczna, charaktery określone; role rozdane, w części już nawet odegrane. Z tego co słyszałem wnoszę, że to był dopiero pierwszy akt komedyi, może trajedyi, bo z pierwszego aktu trudno czasem zgadnąć co dalej będzie. Byłem widzem pierwszego aktu, następne odegrają się zapewne za kurtyną, ale jako mający znajomość z aktorami, powinienem mieć wolny wstęp za kulisy. Radzę ci wszelako, abyś ten dramat zamknął na czwartym akcie; bo w 5tym bywa niekiedy i trucizna; jak to nam pokazał autor Żydów. Nie, o tem ani myśleć, wy zostaniecie sobie na ojczystej ziemi, więc nie przyjdzie do takiego extremu.“

„Aby do takiego głupstwa nie przyszło“ — prze-

jął Zdzisław — „proszę cię Henryku, pofatyguj się jutro, zaraz zrana, do komisarza po wizę mojego paszportu; albowiem nie życzę sobie spotkać się.....“

„Co ja słyszę! i tybyś wyjeżdżał teraz? opuszczał to miejsce, gdzie się otwiera tobie droga do serca młodej mężatki. Jeżeli ty odjedziesz jutro; ja zapalę latarnię, szukać będę a pewno nie znajdę drugiego takiego jak ty.....“

„Henryku, czy zrobisz mi tę grzeczność, o którą cię prosiłem?“

„Więc odjeżdżasz na prawdę? W takim razie na jednym wózku pojedziemy oba, a na waletę naszych konkurencyj zaśpiewamy piosnkę.“

„Jaką piosnkę?“ — zapytał Zdzisław.

„Mam sąsiada, stary półkownik, jeszcze zpod Racławic, ożenił się już dawno z jedną panną z Podola; podobno córką marszałka. On to śpiewa tę piosnkę, pochodzącą jak się zdaje z czasów pokonfederackich. Zaczyna się ona tak:

Nie bierz żony zza kordonu
Bo wnet pożałujesz;
Znajdziesz swoją blisko domu......“

Odśpiewaniu strofy przeszkodziła dziewczyna, która wchodząc do stancyi, oznajmiła Zdzisławowi:

„Strzelec pani hrabiny Mero pyta się o pana.“

„Byłem tego poselstwa pewnym“ — pomyślał sobie Henryk.

Zdzisław wahał się przez chwilę, po czem wyszedł do przedpokoju, i oddano mu bilet.

„Jasny pan pozwoli czekać na odpowiedź?“ — zapytał wygalowany.

„Proszę powiedzieć że odpiszę ale później“ — odrzekł Zdzisław mocno zmieszany.

Henryk zaś przypomniał sobie słowa wyjęte z rozmowy z byłą panną Heleną: „To nie my, ale wy panowie uczycie nas lekce ważyć nasze obowiązki.“

„Ha“ — pomyślał sobie dalej — „może tam za kordonem pannom tylko pisać nie wolno. Wyznam że ta zagadka rozwiązaną została w sposób i w naszych stronach dosyć zwyczajny.“

„Jakże Zdzisławie? jutro czy jedziemy?“ — zapytał.

„Sam niewiem jeszcze, tak rano, nie wyjadę zapewnie“ — odrzekł Zdzisław podając rękę przyjacielowi. — Zrozumiał go Henryk.

„Chciałby mnie się pozbyć“ — pomyślał, roześmiał się i wyszedł.

* * *

„Dzień dobry!“ — „A dzień dobry“ — obejrzał się Henryk, i postrzegł Zdzisława, panią Litnoską i jej córkę. Szli od źródła. Było to nazajutrz.

„Czytałeś gazetę?“ — zapytał go Zdzisław.

„Dzisiaj nie jeszcze; czy jest co ciekawego?“

„Przeczytaj, oto masz.“ I wyciągnąwszy ją z kieszeni oddał ją Henrykowi.

„Do zobaczenia, u Klingera.“

Zdzisław pogonił za damami.

Henryk patrzył d'ugo za odchodzącym, potem wziął się do gazety: zadziwił się nie mało, mniemał że to będzie *Journal des débats*, ta francuzka firanka, a to był łazanek warszawski: Kuryerek Dmuszewskiego; spodziewał się że wyczyta coś najświeższego z *Vera-Cruz*, a tu na gazetce była data zeszłoroczna. Ale postrzegł na pierwszej stronicy jakiś artykuł zakreślony ołówkiem.

Był to życiopis hr. Ludwika de Valmy Maro, zmarłego r. 184... w Warszawie.

„Zmarłego?“ powtórzył w myśli to ważne słowo, i rzekłszy do siebie: „Zagadka nasza rozwiązuje się sposoben dość przyzwoitym,“ czytał dalej: „Hr. Ludwik był synem Alfonsa de *Valmy Mero*, z matki Polki, hrabianki Strockiej, urodzony. Milionowy majątek spadły na niego po matce, odkazał testamentem na młodszego brata, kawalera legii honorowej, mieszkającego w Paryżu. Umarł bowiem bezdzietnie. Artykuł kończył się temi słowy: Nieszczęśliwy wypadek spadnięcia z konia skrócił żywot hrabiego w samym kwiecie wieku. Jego przedwczesny zgon napełnił niezgasłym żalem serce pozostałej wdowy, która w krótkiem, bo tylko kilkumiesięcznem pożyciu była najczulszą i n a j s z c z ę ś l i w s z ą żoną.“

Henryk, odczytawszy ten artykuł warszawskiego kuryjera, rzekł do siebie;

„Niewiedziałem że i nasze gazety kłamać umieją.“

KRONIKA TYGODNIOWA.

Nasze życie konstytucyjne coraz to bardziej powszednieje. Sejmikujemy i dość nam na tem. Sejmikuje akademia, sejmikuje gwardya narodowa, sejmikuje zbór święto-jurski, sejmikuje zgromadzenie ruskie, sejmikuje *bajrat* gubernatorski, sejmikuje Rada narodowa. Sejmikują wszyscy spokojnie, powoli, nawet leniwo i bezskutecznie; bo nikt nikomu w sejmikowaniu nie przeszkadza, a brak przeszkod to dla nas brak popędu. Tak jest! niewolato wykształciła nas w ten sposób. Heroizmem bowiem niewoli jest opor, bezwzględna rezystencya, a my pod jarzmem niewoli włożyli całą duszę w ten ślepy, męczeński opor. Wszak stawić opor, nie jestto postępować; więc gdy nam jarzma nieco zwolniono, i nie dość już opierać się tylko, a owszem postępować, samodzielnie czynnym być trzeba, — trudno nam zebrać się energicznie do chodu, karki nasze przygarbione długim oporem, nie mogą podzwignąć się do działania; nogi nasze, obciążone długoletnim noszeniem kajdan, utykają w postępie, mniemając mieć jeszcze zawsze pęta na sobie — i znów tylko jakaś gwałtowna przeszkoda, tylko jakiś nowy zamach niewoli, wywołując potrzebę nowego oparcia, się rozbudza w nas żywsze życie, znajduje nas mistrzami w niewolniczej sztuce oporu. Stwierdziło się to na najwyraźniejszym organie całej opinii publicznej, na Radzie narodowej. Popełniony na niej przez gubernatora gwałt wzniosł ją naraz w potęgę, pociągającą ku sobie duchowieństwo, dawne Stany, całą publiczność; mniejsza dziś potrzeba stawiania oporu gwałtom sprawia, że chcąc o naszych czynach publicznych mówić, nie mamy o czem mówić. Chyba więc ucieczem się do wypadków publicznych drugiego rzędu, ocierających się zbliska o życie prywatne. Niegdyś byłoby to nam niewątpliwie za złe wzięto; przecież teraz, sądzimy, wolne i należne jest zdanie publiczne, gdy o opinią publiczną chodzi. Dla sprostowania tej opinii zwołał we wtorek pan W. Pol radę przyjacielską, złożoną z kilkudziesięciu osób, mających w odpowiedź na nieprzyjazny mu głos opinii wysłuchać opowiedzenia całego życia z własnych poety ust. Jakoż opowiedział nam p. Pol swoją biografię jako poeta, to jest: mimowolnie idealizując rzeczywistość, naśladując w tem mimowolnie autobijograficzną „prawdę i poezyję“ innego poety, Getego. Wszakże w ciągu tej opowieści przeraził

nas śmiało przez p. Pola uderzony dźwięk uczynionego mu zarzutu szpiegostwa, zarzutu oznaczonego przezeń najściślej co do jego autora, powodu jakoteż czasu rozsiania — zarzutu ciężącego na p. Polu od lat 15., a niestety przeszloroczną jego podróżą świeżo odnowionego. Najsmutniejszą przy tem okolicznością nie jest sam zarzut, bo ten jest — fałszem, i mógł się tylko w nieszczęsnym mroku i jątrzu niewoli i nieszczęść wylądz, lecz okoliczność tak długiego ciężenia na kimś podobnego zarzutu. Nosić przez lat pietnaście taki, aczkolwiek niegodziwie narzucony sobie zarzut, żyć z nim tak długo w towarzystwie, publicznie, nie zmazawszy go z szczętem, a owszem przy całej swojej literackiej zasłudze, nowe do jego odświeżenia dawać powody, jestto dowieść przynajmniej zupełnej niezdolności do życia publicznego, zwłaszcza do życia publicznego, na jakie niewola nas skazywała. To życie wymagało żelaznej stanowczości, a miękka dusza poety, osobliwie takiego jak Pol poety, znać jej nie mogła; to życie żądało samobójczej decyzyi między prawą a lewą stroną, a umysł poety szukał od wieków harmonijnej spojni, nie rozdwojenia w życiu; to życie wkładało obowiązek mściwego nienawidzenia wszelkich wrogów, a serce poety zawsze rade było kochać nie nienawidzieć; to życie nakazywało wieczny opor, wieczną negacyę, opozycyę, destrukcyę, a dla poety opor, negacya, zamęt burzenia jest śmiercią a tylko organizacya żywiołem. Dla czegoż więc nie pojął poeta swojej natury i chciał zaszczepiać zgodę, gdzie obowiązkiem była nienawiść i burzliwość? organizować, gdzie zasługą było tamować wszelką organizacyę, bo wszelka organizacya organizowała tylko naszą niewolę? To więc nie co innego, to niepojęcie swojej natury i przeciwnego jej, nienaturalnego stanu rzeczy, ta może z próżności pochodząca chęć przewodniczenia w życiu przy wewnętrznem nieusposobieniu do tego wrogiego życia — czyniły nas przeciwnikami p. Pola, jako charakteru publicznego, aczkolwiek prywatne znajomości jego, jako poety, wiele najdroższych chwil zawdzięczamy. Toż samo nie wzbudza nawet i teraz pewnej w nas nadziei, aby p. Pol, przy obecnem niewyklarowaniu się jeszcze naszego życia publicznego, okazał się zbawiennym charakterem publicznym, i nie skłania nas do grzecznego zaprzeczania twierdzeniu, którem pan Pol powieść życia swojego zamknął, że „aktem, jakim było to zeznanie całego życia, nie rozpoczyna się, ale kończy się zawód." To jest: zawód publiczny, polityczny — ależ nad ten zawód zostaje mu jeszcze inny, jedyny, z jakiego sądzić go będzie potomność, zawód poety, pisarza, zawód, od którego z krzywdą narodu nieszczęsne, dwuznaczne życie publiczne go odrywało, a którego przeszłe zasługi oby były tylko zapowiednią świetniejszych jeszcze w przyszłości. Niech p. Pol służy ojczyznie darem, jakim niebo nań zlało a o resztę niepotrzeba ani jemu ani przyjaciołom jego się troskać. W każdym, zwłaszcza zaś w takim razie historya literatury policzy go do najpierwszych swych ozdób, dzieci jego odziedziczą uczciwe po nim imię, a poetyczna ustroń jego znajdzie zawsze najserdeczniejszych przyjacioł.

K. Szajnocha

Wezwanie.

Komisya do opatrzenia i umieszczenia ziomków naszych wracających z obcych krajów, z szerzącej się wieści z niewymownym bolem serca dowiedziała się, że na radzie przybocznej gubernatorskiej, tak zwanym *bajracie*, znalazł się członek tegoż bajratu, który niepomny na najświętsze obowiązki, jakie prawi współobywatele winni są swoim ziomkom z tułactwa powracającym, — uczynił wniosek względem wydalenia z kraju tychże braci naszych.

Wieść ta złowroga, która lotem błyskawicy rozeszła się po całem mieście, przejęła wszystkich zgrozą!

Nie chcielibyśmy temu wierzyć, radzibyśmy zaprzeczyć odgłosowi publicznemu, uznającemu xięcia Karola Jabłonowskiego za wnioskodawcę. Jednakże odgłos ten jest tak powszechny, tak silny, iż rzeczona komisya, w obronie czci narodowej uważa za swoją największą powinność jaknajspieszniej podnieść głos swój oburzenia na tę nikczemność; protestować jak najuroczyściej przeciw temu krokowi bajratu gubernatorskiego, odwołać się do sądu i sumienia obywateli miasta i całego kraju i zapytać się, ażali prywatny gubernatorski bajrat i jego członek mógł mieć prawo do zrobienia tego, naród cały hańbiącego kroku? Czy mógł przypuścić abyśmy dopełniając naszego obowiązku w przyjęciu z otwartemi ramionami, z otwartem sercem, naszych ziomków, którym swobody konstytucyjne i reskrypt ministra spraw wewnętrznych do dyrektorów policyi, otworzyły granicę do powrotu na ziemię polską, ziemię ojczystą, pozwalali wypędzać ich z kraju, z ziemi ich praojców? Zaprawdę! byłby to czyn Kaima godny!

W imieniu przeto całego narodu wzywamy niniejszem xięcia Karola Jabłonowskiego, ażeby zechciał w publicznych pismach dla obrony własnej i własnego w dziejach Polski sławnego i kochanego imienia, z zarzutu tego jaknajrychlej się usprawiedliwić. We Lwowie dnia 19. maja 1848 roku. Michał Hoffmann, z kolei prezydujący. Robert Ruebenbauer sekretarz.

MODY.

Z Paryża, dnia 10 maja 1848.

Stroje damskie. Oto jest opis kilku całkowitych strojów: Suknia krepowa, stanik marszczony, rękawy podwójne, pierwsze krótkie a drugie szerokie wiszące, spodnica podwójna, po bokach otwarta i perłami sznurowana. Szlafroczek grodenaplowy, stanik marszczony na ramionach i w pasie, z przodu wycięty mocno pod spodem, kołnierzyk z małemi żabotami; płaszczyk jedwabny z kołnierzem wyłożonym, obszyty do koła dwoma falbanami w ząbki dzierganemi. Szlafroczek z szkockiej materyi, stanik nakształt amazonki spięty jak spodnica z góry do dołu na guziki czarne z perłowej macicy; płaszczyk biały kaszmirowy, kroju *à la routière*, kapelusz słomkowy, bukietem polnych kwiatów przystrojony.

Rycina przedstawia: Strój narodowy, półkontusik i konfederatka z białem piórkiem. Druga figura: czamara i konfederatka z kokardą. Trzecia figura, suknia z falbanami koronkowemi.

Redaktor odpowiedzialny JAN DOBRZAŃSKI. Wydawca TOMASZ KULCZYCKI.

DRUKIEM PIOTRA PILLERA.